

Nithard chciał zobaczyć Styryjczyków. To była zasadnicza przyczyna, dla której zgłosił się akurat do tego meldunku. Czarne diabły, mordercy z Visnohory i Monta Argenta, legendy o nich przetaczały się raz po raz po obozowych ogniskach IV Tymenu. Mieli ze dwa metry wzrostu, wszyscy. Nie dało się ich zabić ostrzem, ani magią, mogli skakać na wysokość pierwszego piętra, podobno uciekając z Visnohory skakali w przepaść i przeżyli. To nie ludzie, szeptano przy ogniskach. W ich żyłach płynie trucizna, dlatego są odporni na moc Qa, są prawie jak Nieśmiertelni...

Dwa oddziały Czarnej Tercji zostały przez styryjski sztab przydzielone do działań operacyjnych na północy. Podlegały wyłącznie rozkazom magnifera, przy czym w przypadku poważniejszych zadań mogli żądać potwierdzenia rozkazu przez reprezentanta SSW, i taki właśnie potwierdzony rozkaz Nithard miał dostarczyć im do rąk.

Sprawa byłaby łatwiejsza, gdyby Czarna nie buszowała właśnie w rejonie wąwozów Gatismeld, gdzie świetnie ulokowany oddział Qa, wspomagany z pobliskiej fortecy, zablokował jedyny sensowny szlak zaopatrzeniowy. To pół biedy, że po dwóch dniach czekania w obozie musiał ruszyć zadek w teren, ale tam, gdzie wskazano mu punkt kontaktowy, nikogo nie zastał, a zaczynało zmierzchać. Rejon Gatismeld był formą skalnego labiryntu, otaczającego wygodną, utwardzoną drogę na północ. Trochę znał ten rejon, a Qa nie bał się aż tak bardzo. Wiedział, że w razie czego ucieknie, bo tamci zwykle gubili się w terenie, albo odpuszczali.

Ruszył w głąb wąwozu.

Nie był byle ćwokiem ze wsi, służył w tymenie od kiedy ten powstał, czyli już z 10 miesięcy, miał całe 15 lat i niejednym starym mógł mu pozazdrościć sprawności. Znał na pamięć plan wąwozu, pozycje Qa i pozycje styryjskie, umiał poruszać się bezszelestnie jak jakiś cholerny Aenthil, a krótki mieczyk, który miał przy pasie, nie służył mu bynajmniej do dłubania pod paznokciami.

Zszedł ze ścieżki, ostrożnie stąpając po miękkich, mokrych zeszłorocznych liściach. Drzewa nie miały jeszcze młodych liści, co dawało mu większą widoczność, ale on sam także był widoczny z daleka. Zaciśnięcie ręki na rękojeści noża pozwalało na opanowanie nerwów. Do krawędzi skalnego urwiska mogło być z 20 metrów, wyraźnie widział czarną linię między skałami, bardziej czarną niż reszta zatapiającego się w mroku krajobrazu skalnego labiryntu.

Trzask.

Psiakrew. Aż podskoczył, wydawało mu się, że dźwięk złamanej jego butem gałązki wywołał echo o mocy wystrzału ze styryjskiego muszkietu. Znieruchomiał.

Odpowiedziała mu tylko cisza, po kilku krokach więc tętno się uspokoiło i Nithard zaczął normalnie oddychać. Jeszcze kilka met...

Nie dokończył tej myśli.

Na skraju widzenia rozbłysło błękitne wyładowanie, trwało ledwie ułamek sekundy, ale dostrzegł je, znał je doskonale jak każdy mieszkaniec północy, zapołudniowa magia wyglądała zwykle tak samo. Zerwał się do biegu w kierunku przeciwnym, gotów skoczyć pomiędzy skalnymi ostańcami w szczelinę, którą widział w półmroku, i zniknąć z oczu napastnikom.

O tym, że błysk magicznego wyładowania mógł być tylko zmyłką, by go wypłoszyć, pomyślał dopiero, kiedy masywny macahuitl wyrznął go płazem w skroń. Trzech wojowników Qa wyrosło przed nim niemal jak spod ziemi i tylko wprawie i nawykowi zawdzięczał, że zdołał choć trochę zamortyzować uderzenie ręką. Padł na ziemię, próbując natychmiast się zerwać, ale tym razem bardzo bliskie błękitne wyładowanie przyszpiliło go do gruntu. Chciał krzyknąć, ale wyszedł z tego stłumiony charkot. Twarz wojownika Qa, pokryta tatuażem czy malunkiem, wykrzywiła się w czymś, co ewidentnie było uśmiechem.

Gdyby goniec nie był tak panicznie przerażony, zdziwiłby się jednak, że Qa uśmiechał się tak krótko...

Zza pleców wojownika Nithard zobaczył ciemny kształt, pokryty warstwą błota czy sadzy. Błysk ostrza. Blokujące go zakłęcie puściło i wrzasnął z przerażenia na cały regulator, gdy krew z rozdartej tętnicy Qa ciepłym chlapnięciem zmoczyła mu twarz.

- Zamknij sie! – warknął mu ktoś do ucha, kobiecy głos z lekkim obcym akcentem – Bierz go stąd, zajmiemy ich, zanim wszystko się spartoli.

Nie było pozdrowień, wezwań, modlitw. Lub były bezgłośnie, zwłaszcza te ostatnie. Na mokrych liściach zostały cztery ciała, jedno z wyrżniętą nożem na czole okrągłą swarżycą.

Nithard dopiero po dłuższej chwili ochłonął. Miał z tym coś wspólnego trunek, który wiano mu w gardło, i parę plaskaczy, którymi otrzeźwił go upaprany po uszy w jakiejś mazi człowiek. Definitywnie nie miał dwóch metrów wzrostu.

- Po cholerę darłeś ten ryj – roześmiał się, gdy młodzieniec oprzytomniał – Trzy dni szykowania zasadzki prawie nam rozpierniczyłeś w kilka sekund.

Siedzieli w dobrze osłoniętej i zamaskowanej od zewnątrz jamie, bez ogniska i światła, za to wyscielonej tak, by dało się nocować bez poważnego dyskomfortu.

- ... przepraszam...? – mruknął niepewnie goniec- Nie wiedziałem, jak was znaleźć, a są rozkazy... – opanował chwilę paniki, gdy ręka nie trafiła na sakwę przy pasie. Sakwa leżała obok niego, odpięta z zapinki – Są rozkazy dla was. Od magifer Ittigen. Ważne. Są... Mielicie być na punkcie kontaktowym...

- Właśnie dlatego nas tam nie było – uśmiechnął się tamten, rozwiewając jeden z mitów, iż Czarna Tercja nigdy się nie śmieje. Po chwili obserwacji Nithard zaczął dostrzegać jego rysy pod ciemną mazią, którą maskował twarz – Ha, wreszcie jakaś poważna robota. Ale będziesz musiał poczekać. Musimy skończyć co zaczęliśmy, to zajmie może z godzinę. No, dwie. Więc masz czas. Masz. Pij. Przyda ci się.

Młody Wergund wychylił resztę zawartości manierki, przyjemnie słodki, pałący trunek rozlał w jego ciele nieco obojętności i odprężenia. Alkohol rozszerzył naczynia krwionośne, obniżył ciśnienie i nieprzyzwyczajonemu do niego organizmowi zaordynował potężny zawrót głowy.

- Godzina... Jasne. Robicie zasadzkę...? Ilu was tu jest właściwie? Widziałem jakąś kobietę jeszcze.

- Mhm, to Imira, jedna z oddziału z Visnohory. Sześciu nas stamtąd ocalało. Oprócz tego jest jeszcze drugi oddział, ośmiu, więc czternastu jest razem. Dla ilu rozkaz?

- Nie wiem, chyba o pięciu mówili o magnifer, ale nie czytałem rozkazu – mruknął chłopak – To oni byli na Visnohorze...? Podobno tam ...

- Mhm, zabili Generała. Sześciu naszych tam zostało.

- Zostało...? Zginęli? Myślałem....

- Że nie giniemy? – roześmiał się znów Styryjczyk – Tak, słyszałem te opowieści. Latamy w powietrzu i strzelamy ogniem z rzyci... Heeeeh, gdybyż legendy były prawdziwe. Ale nie są – spoważniał gwałtownie – Na Visnohorze zginęło sześciu. Imira i Eštven ledwie uszli z życiem i składaliśmy ich przez miesiąc potem. A wciąż oboje mają wyrzuty sumienia, że powinni byli tam zostać. Tak, sumienie też miewamy.

- Ekhm – ciekawość wzięła górę i Nithard postanowił zapytać – To co tam się stało...? Byłeś tam?

- Byłem – mruknął – Poszło nas dwunastu. Weszliśmy na linach przez skalne urwiska. Merth nie dał rady, runął w przepaść... Potem wysadziliśmy im magazyny. Zrobił się chaos, a my uderzyliśmy na donjon, gdzie rezydował ten ... Seitiri – głos Styryjczyka przybrał ton zamyślenia, jakby zatopił się we wspomnieniach, które tylko przypadkiem zamieniał w cicho wypowiedane słowa – Imira odesłała nas na pozycje snajperskie, byliśmy ranni. Nie wszystko poszło jak trzeba...

- Ale udało się wam...?

- Taaaa...

Przydługie milczenie przerwał odległy odgłos wybuchu, głuchy, przetaczający się przez skalne ściany grom. W chwilę po nim kilka stłumionych wrzasków, kolejny wybuch. A potem na ułamek sekundy nad wąwozami rozbłysło w milczeniu oślepiając białe światło i zgasło. Zapadła cisza. Styryjczyk podniósł głowę.

- Idą – westchnął, nasłuchując czegoś, czego Nithard nie słyszał – Zwijamy się, młody. Opowiem ci resztę, słowo, pewnie tam, gdzie nas wysyłają, zdążymy się jeszcze zejść. Albo ktoś z pozostałych ci opowie.

W ciemności zamajaczyły postaci, choć Wergund wciąż nie słyszał żadnego odgłosu.

- Poszło – rozległ się ten sam kobiecy głos co przedtem – Zgodnie z planem, rozpieprzyliśmy im tę magiczną instalację. Zwijamy się, panowie, pozostali już są na punkcie. Hej, Solten – dorzuciła, mijając ich pewnym krokiem, choć mrok zapadł już całkowity – Nie opowiadaj Wergundom takich szczegółów, to nie jest złe, kiedy uważają, że jesteśmy czarnymi demonami.

Nawet w ciemności Nithard słyszał, że Imira śmieje się, mówiąc to, więc właściwie niepotrzebnie sprostowała:

- Żartuję, młody. Głupioś zrobił, że tu wlałeś. Ale skoro wlałeś, toś już nasz, jak każdy Wergund, z którym nam się w walce zejdzie. W drogę, zanim patałachy zlokalizują, że im ktoś zabawki popsuł.